



14

Tak działa polityczna socjotechnika



30

Lękajcie się, pedofile



74

Komediowe zapędy Dawida Podsiadły

Tematy tygodnia

- 12 Łukasz Wójcik
Rządowy judeosceptycyzm
- 14 Mariusz Janicki
Polityka przykrywkowa i jej ofiary
- 17 Juliusz Ćwieluch
I jak tu segregować śmieci?

Polityka

- 20 Rafał Kalukin
Prof. Paruch – czołowy strateg PiS
- 23 Grzegorz Rzeczkowski
Misiewicz Macierewicz

Społeczeństwo

- 26 Polki się liberalizują – rozmowa z **Katarzyną Pawlikowską**
- 30 Joanna Podgórska
Jak rozliczyć pedofilię w Kościele
- 33 Edwin Bendyk
Polacy mniej narodowi, bardziej miastowi

Rynek

- 36 Rozmowa z **Grzegorzem Ślakiem** o polowaniu na byłych menedżerów państwowych spółek
- 40 Cezary Kowanda
Tramwaje cudze i nasze

Świat

- 42 Tomasz Zalewski USA
Kto chce się bić z Trumpem
- 45 Olga Solarz UKRAINA
Na styku polityki i magii
- 48 Joanna Crawley IRLANDIA
Brexitowa komedia omyłek

Historia

- 50 Sebastian Ligarski
1982: francuskie balony dla Solidarności
- 53 Artur Domosławski
Meksyk z „Romy”: post scriptum

Nauka

- 56 Agnieszka Krzemińska
100 tys. lat dziegciu
- 60 Paweł Walewski
Nowoczesne metody ratowania wzroku
- 62 Karol Jałochowski
Czym zajmuje się bioinformatyk

Ludzie i style

- 64 Ryszard Wolff
Czy warto wskrzeszać Syreny, Trabanty, Polonezy?
- 66 Barbara Adamczewska
ZA STOŁEM Regionalne smaki

- 68 Marcin Piątek **Dlaczego polskie narciarstwo alpejskie kuleje**

Kultura

- 74 **Dawid Podsiadły** o nowych pomysłach i bliskiej znajomości z publicznością
- 78 Aneta Kyzioł **Wysłuchani w podcasty**
- 80 Marcin Żwierzchowski
Przyszłość Ameryki w opowiadaniach i komiksach
- 82 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 83 Janusz Wróblewski
Oscary: czego dowiedzieliśmy się tym razem
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo

Na własne oczy

- 92 Michał Zaczyński
Karl Lagerfeld – ostatni cesarz mody

Stałe rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 39 Przegląd informacji rynkowych • 70 Afisz • 87 Stomma • 88 Passent • 90 Do i od redakcji • 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Obraza wołowa

Za granicą szkaluje się już nie tylko polski naród, ale także polską wołowinę. Gdy uchłta wrzawa wokół polskiego mięsa z chorych krów, która trafiła do 15 krajów UE, Czesi odkryli, że w 700-kilogramowej partii wołowiny z Polski są bakterie salmonelli.

Czeskie szykany spotkały się z ostrą odpowiedzią polskiego ministra rolnictwa, który w reakcji na zapowiedziane przez Czechów nadzwyczajne kontrole całego mięsa wołowego importowanego z Polski zagroził odwetowymi kontrolami czeskiego piwa.

„Nie chcemy odpłacać pięknym za nadobne, ale jeżeli będziemy szantażowani, nie mamy innego wyjścia” – podkreślił, chociaż nie ujawnił, co zamierza w czeskim piwie znaleźć.

Minister oświadczył, że potępia obecność salmonelli w mięsie wołowym, ale z powodu wykrycia jej śladów w pojedynczych kawałkach nie pozwoli obrażać całej polskiej wołowiny. Podkreślił, że kawałki te nie reprezentują ogółu polskiej wołowiny, która jest bez zarzutu. „Salmonella w naszej narodowej wołowinie to patologia, zjawisko marginalne” – zapewnił minister w odpowiedzi na oburzającą sugestię jednego z czeskich rolników, jakoby polskie krowy wysysały salmonellę z mlekiem matek.



„Polska wołowina ma wspaniałą historię, wiele wycierpiała i latami bohatercko walczyła o to, żeby znaleźć się na europejskich stołach, dlatego nie pozwolimy obrażać jej zarzutami, że nie nadaje się do spożycia”, napisał resort rolnictwa w specjalnym komunikacie. A Ministerstwo Kultury, Sztuki i Dziedzictwa Narodowego przypomniało, że Polska jest od wieków krajem przyjaznym wołowinie, krowy czują się u nas dobrze, nigdy nie były obiektem ataków ani podejrzeń o to, że ich mięso jest niezdrowe lub zakażone salmonellą, co niestety nie każdy europejski kraj może o sobie powiedzieć.

Jak wypadną badania polskiej wołowiny – nie wiadomo, natomiast jeśli idzie o czeskie piwo, to minister rolnictwa Czech, uprzedzając polskie kontrole, zapewnił na Twitterze, że osobiście sprawdził jego jakość i żadnych nieprawidłowości nie stwierdził. Polskie służby pozostają jednak nieufne. – Z naszej praktyki wiemy, że wykrycie jakichkolwiek nieprawidłowości wymaga picia przez wiele dni i konsumpcji przynajmniej kilkunastu skrzynek na głowę – ocenia wysoki urzędnik Ministerstwa Rolnictwa pragnący zachować anonimowość. I zapowiada, że strona polska będzie sprawdzać czeskie piwo tak długo, aż Czesi się opamiętają i przeproszą za znieważenie naszej wołowiny.

Sprawdź dlaczego Klienci wybierają nasze wycieczki objazdowe

Sycylia Wyspa Niezwykła

Sycylia jest przepiękna! Szkoda nawet opisywać odwiedzane miejsca - od Etny, przez Taorminę i Wyspy Liparyjskie do Palermo i Marsalę - wszystkie są urzekające, niesamowite, przepiękne, niepowtarzalne, jedyne. To trzeba zobaczyć, słowa tu nic nie dadzą! Mieliliśmy świetną pilotkę, panią Anię, która jako przewodnik zaskakiwała olbrzymią wiedzą, a przy okazji była naszym super opiekunem. Wstawaliśmy rano, ale przejazdy nie były zbyt męczące. Wygodny autokar i świetny kierowca Angelo sprawił, że w większości miejsc byliśmy wcześniej, przed tłumami turystów... Wycieczka jak marzenie, upał, słońce, przyjaźni ludzie, luz, doznania dla wszystkich zmysłów, niezapomniane chwile, ponad 2000 zdjęć i mnóstwo filmów... no i pamiątek.. Polecam z czystym sumieniem.

Ewa, 56-65 lat | w parze |

już od
2499 pln
8 dni



już od
3199 pln
8 dni



Gruzińska uczta

Wycieczka bardzo dobrze zorganizowana. Bardzo dobrze zaplanowany program. Standard hoteli pozytywnie nas zaskoczył. Czyste, duże pokoje w większości możliwość zrobienia herbaty czy kawy. Jedzenie bardzo charakterystyczne dla tego regionu. Wiele intensywnych przypraw. Jedyne do czego można się przyczepić to zbyt mało wolnego czasu w zwiedzanych miastach. A naprawdę w niektórych aż się prosi, np. Batumi czy Tbilisi. W Batumi polecam wjechać na Wieżę Alfabetu, a wieczorem zobaczyć pokaz grających fontann. Gruzja jest tak piękna, że pewnie jeszcze tu wrócę.

Justyna, Ruda Śląska, 46-55 lat | z rodziną |

Wokół Alp – Europejskie Cuda Natury

Słowa nie są w stanie opisać piękna zwiedzonych miejsc. Jak już sam tytuł określa, europejskie cuda natury! Widoki z autokaru i podczas spacerów zapierały nam dech w piersiach. Nie spodziewaliśmy się z mężem tak udanego pobytu. Alpy i włoskie jeziora są przepiękne. Wjazd kolejką (8 cud świata), żeby podziwiać Mont Blanc, to rewelacja. Zwiedzanie urokliwych małych miasteczek z przebogata historią, a także przepięknego Salzburga. Mąż był miło zaskoczony możliwością zobaczenia stadionu w Turynie. Każdy dzień wycieczki był pełen wrażeń. Organizacja i przewodnicy spisali się na medal. Byliśmy już na kilku wycieczkach z Rainbow i jak zawsze gorąco polecamy usługi firmy.

Bronisława, Tczew, 56-65 lat | w parze |

już od
1849 pln
10 dni



A gdzie wybierzesz się Ty?

INFOLINIA: (42) 680 38 51

R.pl

Kasa na głosy



Jerzy Baczynski

Konwencja wyborcza PiS miała się odbyć wcześniej, ale huk z kapiszona, jak określano „taśmy Kaczyńskiego”, na dłuższy czas ogłuszył partię. Dopiero teraz, po odczekaniu paru tygodni, zdecydowano się odpalić – znów cytując – programowe party, sygnalizujące przejście do kontraktatu. Poczucie zagrożenia skutkami afery (wzmocnione ostatnimi sondażami, które nowej Koalicji Europejskiej po raz pierwszy dawały zwycięstwo nad PiS) skłoniło partię do sięgnięcia po – szykowaną zapewne na jesień – amunicję. Tu trzeba od razu pogratulować zdolności przewidywania liderom opozycji, Schetyni i Kosiniakowi-Kamyszowi, bo obie partie już dawno przedstawiły plan objęcia świadczeniem 500 plus także pierwszego dziecka oraz wypłaty tzw. trzynastej emerytury w wysokości 1100 zł. Nieważne, czy mieli przecieki, że takie właśnie obietnice PiS zamierza rzucić na kampanie wyborcze, czy sami uznali, że tak trzeba, dość, że opozycja przynajmniej na poziomie obietnic wyborczych nie dała się uprzedzić. Stąd tak intensywne zabiegi podczas konwencji PiS, aby – co do zasady – podważyć wiarygodność wszelkich obietnic PO-PSL („my dajemy, oni tylko mówią, że dadzą”). Puszczono nawet kabaretowy filmik, obśmiewający „imposybilizm polityków opozycji” i ich niedyśjersze zapewnienia, że 500 plus nie da się sfinansować.

Główne partie Koalicji Europejskiej rzeczywiście znalazły się w komunikacyjnym kłopotcie, bo przecież nie można dezawuować propozycji PiS, jeśli się je samemu wcześniej zgłaszało. Żart Mateusza Morawieckiego – „tak szanujemy opozycję, że realizujemy jej obietnice” – dość dobrze oddaje sytuację klinczu, w jakim polska polityka znalazła się w progu tegorocznych kampanii.

PiS zasadniczo zmienił reguły wyborczej gry (więcej o tym na s. 14). W czasach przedpisowych kampanie nie były aż tak jawnie cyniczne; owszem, odbywały się festiwale obietnic, rywalizowano hojnością świadczeń społecznych, rozmachem inwestycji, poziomem podatków itd., ale to PiS dokonał (cytując premier Szydło z konwencji) „kopernikańskiego odkrycia”: wybory wygrywa się dzięki konkretnym pieniądzązom wypłaconym konkretnym ludziom. Opozycja, właściwie cała, potwierdziła, że wyciągnęła wnioski z poprzedniej przegranej i już nikt nie da się obsadzić w roli „partii obrońców budżetu”, międlących o nudnych programach. Według zgrubnych obliczeń, złożone na konwencji PiS obietnice będą kosztować ponad 40 mld zł rocznie; PO i PSL, zgłaszając swoje propozycje, musiały się liczyć z podobnym obciążeniem publicznych finansów. Także Robert Biedroń obliczył wartość obietnic Wiosny na 35–40 mld zł. Słowem, politycy wszystkich głównych partii niezależnie ocenili, że nie ma co startować w tych zawodach bez zaferowania wyborcom minimum 40 mld zł rocznie dodatkowo. Proste.

Ale PiS w tej grze postanowiło opozycję przechytrzyć, wykorzystać lepszy punkt startu i finansowe obietnice powyborcze realizować już w trakcie kampanii. Więc prezes Kaczyński przedstawił na konwencji następujący plan wypłat. Od 1 maja, a więc na trzy–cztery tygodnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, wszyscy emeryci dostaną jednorazowo po 1100 zł, tak żeby nawet mając słabą pamięć, jak to u starszych ludzi, nie zdążyli zapomnieć o złożeniu dowodów wdzięczności do szklanej urny. Towarzyszy temu zapowiedź, że jeśli obecna władza wygra, to w przyszłym roku ona też okaże wdzięczność i może da

kolejną „trzynastkę”. Droższe będą wybory parlamentarne, bo już od 1 lipca ma być wypłacane po 500 zł na każde dziecko, a tuż przed wyborami zapewne jeszcze po 300 zł „piórnikowego”. W sumie w tym roku będzie to dodatkowo ok. 20 mld. Te pieniądze mają obsłużyć obie „tury wyborów”, europejskie i krajowe, oraz wziąć w finansowe kleszcze – wypłatami majowymi i lipcowymi – datę i Ruch Społeczny 4 czerwca. Poza tym już nic więcej, żadnego – jeśli ktoś się spodziewał – „programu europejskiego” na wybory do PE, nic o bezpieczeństwie Polski i polityce zagranicznej, żadnego planu reformy służby zdrowia, opanowania chaosu w oświacie, w wymiarze sprawiedliwości, nic o podwyżkach dla nauczycieli, pielęgniarek, policjantów, o realizacji wielkich inwestycji. Na trzygodzinnej wyborczej konwencji PiS, poza jasną ofertą „kasa za głosy”, w zasadzie żadne tzw. propozycje programowe nie padły.

Prosta oferta została pobieżnie opakowana w ideologiczną, mocno przeswituującą kopertę. Kaczyński z Morawieckim niemal dosłownie cytowali frazy Orwella z „Roku 1984” („Wojna to pokój, Wolność to niewola, Ignorancja to siła” etc.), ogłaszając na konwencji, że „Wolność to zasobność” albo: „Europejskość to zawartość portfela”. Zredukowanie relacji obywateli z własnym państwem i z Unią Europejską do wymiaru portmonetki było po raz n-ty odwołaniem się do idei „ciemnego ludu”, który ma kupić przekaz (cytując Beate Szydło) o hojnym „prezencie Jarosława Kaczyńskiego dla Polaków” (TVP dostała właśnie miliard złotych na przedwyborczą propagandę). Hasło rzuczone na konwencji przez Jarosława Kaczyńskiego „My wypelniamy kieszenie!” brzmiało jak jawna deklaracja klientelizmu w charakterze państwowej ideologii: jeśli weźmiemy całą władzę, to i dla was coś z budżetu skąpanie. Czy ta oferta może zostać przyjęta przez większość wyborców? Oczywiście, może. Dlatego radosna konwencja PiS była jednym z najsmutniejszych widowisk politycznych w historii wolnej Polski.

Niestety, gra się tak, jak przeciwnik pozwala. Opozycja pozostanie więc zapewne w retoryce, że nowe 500 plus i „trzynastka plus” to tylko mokre kapiszony, echo dawno już odpalonych przez PO-PSL obietnic. Te 30–40 mld od przyszłego roku tak czy owak trzeba będzie zapłacić, nawet tym, którzy absolutnie tego nie potrzebują, i kosztem prawdziwej polityki społecznej, zdrowotnej, oświatowej w przyszłości. Taką jest cena praw nabytych czy rozdanych. Tylko że za te miliardy można jeszcze w pakiecie dokupić sobie satrapię.

Opozycja, jeśli chce wygrać i jak najprędzej zatrzymać erozję państwa oraz samej polityki, nie ma wyboru: musi się przyszywać formuły „nie odbierzemy niczego, co PiS dał, oddamy to, co PiS zabrał”. A będzie co oddawać.



Wyjście z niebytu

To gest, jakiego w historii Kościoła jeszcze nie było. Papież Franciszek całuje w rękę mężczyznę, który lata temu padł ofiarą księdza pedofila.



Mężczyzną był **Marek Lisiński**, szef Fundacji Nie Lękajcie Się. Do Watykanu, gdzie w zeszłym tygodniu trwał szczyt na temat pedofilii w Kościele, pojechał wraz z kilkoma członkami fundacji praktycznie w ciemno. Miesiąc wcześniej posłanka Joanna Scheuring-Wielgus napisała do papieża Franciszka osobisty list. Przedstawiła się, opisała swoją współpracę z Fundacją Nie Lękajcie Się i poprosiła, by poświęcił im choć pięć minut. Przyszła lakoniczna odpowiedź: w biurze będą czekały przepustki na audiencję generalną.

– *Mieliśmy nadzieję, że może jakoś uda się nam dopchać do papieża, złapać go za rękaw i wręczyć przygotowany przez nas raport o przypadkach ukrywania przypadków pedofilii przez polskich duchownych. Ale gwarancji nie było* – opowiada Scheuring-Wielgus.

Marek Lisiński, założyciel fundacji, nauczył się po hiszpańsku zdania: „Jestem dzieckiem-ofiarą z Polski”. Miał przy sobie swoje zdjęcie z tamtego czasu. W biurze przepustek czekała na nich specjalna imienna koperta i informacja, że papież do nich podejście. Ale tego, co się stało, nikt się nie spodziewał. Papież w geście pokory i szacunku całuje w rękę ofiarę księdza pedofila. To o wiele więcej niż „przepraszam”, którego Marek Lisiński nie doczekał się nigdy od swojego oprawcy, jego przetożonych ani żadnego z polskich duchownych. – *Szok, emocje, w nocy nie mogliśmy zasnąć. Przeżywalismy to stale od nowa* – opowiada Joanna Scheuring-Wielgus.

Marek miał 12 lat, kiedy to się zaczęło. Mała wieś na Mazowszu, początek lat 80., peerelowska bieda. I ksiądz, którego darzył się bezgranicznym zaufaniem, który – jak się zdaje – stara się wypełnić miejsce nieobecnego ojca, a w dodatku rozdaje mąkę i salami z pomocowych zachodnich paczek. Marek szczególnie dumny był z funkcji lektora, który czyta w czasie sumy Pismo Święte, i z ministranckiej komży. O seksualności natomiast nie wiedział jeszcze nic. Jednak czuł, że to, co dzieje się nocami na plebanii, gdzie ksiądz go coraz częściej zapraszał, nie jest ani dobre, ani normalne. Trwało to prawie rok. Pewnego razu postanowił, że więcej do kościoła nie pójdzie.

W domu wykrzyczał całą prawdę, ale nikt mu nie uwierzył. Wspomina, że to był moment, gdy stał się dorosły. Wyprowadził się do miasta, do internatu. Już jako 14-latek zaczął sięgać po alkohol. Szybko się uzależnił. Dopiero jako dojrzały człowiek, podczas terapii odwykowej, po raz pierwszy wrócił do traumy z dzieciństwa. „Coraz bardziej mnie to gnębiło, dotykało. Kiedy zaczęło docierać do mnie, co ten człowiek mi zrobił, jak mnie skrzywdził na całe życie, bo ja przez niego nie potrafiłem okazywać uczuć swoim synom, dzieciom, nie mówiąc już o żonie. Byłem takim wyprutym, pustym stworzeniem, które gdzieś tam się przemieszcza i kombinuje, jak zarobić parę groszy, wypić, i zasadniczo nie interesowali mnie ludzie jako tacy” – wspomina w książce Ekkego Overbeeka „Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią”.

Potrzebował wielu lat terapii, by uzyskać życiową równowagę.

Gdy odkrył, że ksiądz, który go molestował, żyje i nadal pełni funkcję kapłana, zgłosił sprawę do biskupa. Podczas przesłuchania w kurii był kompletnie rozbity. Księża, którzy z nim rozmawiali, byli bardziej zainteresowani sprawą jego nałogu niż molestowania. Znowu czuł się nikim.

– W dodatku ksiądz, który mnie skrzywdził, zaczął nagabywać członków mojej rodziny, znajomych, sąsiadów. Rozsiewał o mnie paskudne plotki, że go rzekomo okradłem. Przekonywał, że nie mogłem być ministrantem, bo pochodzę z patologicznej rodziny – opowiada Marek Lisiński. – Przesłał dopiero, gdy interweniowałem u biskupa.

Sąd kościelny na trzy lata zawiesił księdza w pełnieniu funkcji kapłańskich. Mimo że z watykańskiego wyroku wynikało, że prawdopodobnie molestował także innych chłopców, nie został usunięty ze stanu duchownego.

Spotkanie z Ekkeem Overbeekiem, holenderskim dziennikarzem, który pracował nad filmem i książką o pedofilii w polskim Kościele, było dla Marka Lisińskiego momentem kluczowym. Poznał wówczas inne ofiary pedofilii. To ważne, bo latami żyją one w poczuciu, że tylko im przytrafiło się coś takiego. Razem z Overbeekiem pojechali do Dublina na konferencję SNAP (Międzynarodowej Sieci Ofiar Molestowania przez Księża). Tam zrozumiał, że problem jest globalny. Gdy zakładał Fundację Nie Lękajcie Się, był przekonany, że takich jak on jest w Polsce garstka. Wraz z napływem zgłoszeń od ofiar odślaniała się skala zjawiska pedofilii wśród kleru. Lisiński żywił jeszcze wówczas naiwne przekonanie, że po ukazaniu się książki Overbeeka powstanie u nas komisja na wzór zachodni, która opracuje rzetelny raport. Nic takiego się nie stało. Samo zarejestrowanie fundacji okazało się drogą przez mękę.

Prośbę o spotkanie jeden z hierarchów miał skomentować: „z niebytem się nie rozmawia”. Ale nawet gdy fundacja już zaistniała, przepadło pięć lat jej działania zaden z członków episkopatu nie znalazł czasu ani ochoty, żeby spotkać się z jej członkami. Kto mógł przypuszczać, że z pominięciem biurokratycznej kościelnej maszyny uda im się dotrzeć bezpośrednio do papieża Franciszka.

PS W zastępstwie chorego abp. Stanisława Gądeckiego na watykańskim szczyście w sprawie pedofilii w Kościele polski episkopat reprezentuje abp Marek Jędraszewski. Jego nazwisko znajduje się w raporcie o hierarchach kryjących księży sprawców, który Fundacja Nie Lękajcie Się wręczyła papieżowi Franciszkowi.

JOANNA PODGÓRSKA



Bęcki od zagranicy

Nie było łatwe zorganizowanie w Warszawie wielkiej międzynarodowej imprezy i wyjście z niej z guzami od Iranu, USA i Izraela jednocześnie, ale nasz rząd dał radę. Promocja węgla na szczycie klimatycznym w Katowicach też została zauważona, ale tym razem osiągnęliśmy nową jakość.

Najmocniej dołożyli nam ci, na których prośbę konferencję zorganizowaliśmy i którzy byli jej politycznymi beneficjentami. Stany Zjednoczone publicznie wezwały nas do restytucji mienia żydowskiego, a Izrael ustami swego ministra poinformował świat, że jesteśmy genetycznymi antysemitami. Zawyla nawet nasza psychoprawicowa prasa, zazwyczaj zachwycająca się prowokacjami nacjonalistycznych towarzyszy podróży.

Przyczyny porażki podzieliłbym na: detaliczne i hurtowe. Deticzne to chybione kalkulacje naszej prawicy w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. Naszym powiatowym strategom wydaje się, że jeśli tak jak administracja prezydenta Trumpa będziemy odgrażać się Unii, na zawołanie dostarczać europejskiej lokalizacji dla przemówień i konferencji oraz płacić sute zaliczki za amerykański sprzęt wojskowy, to Amerykanie nam się odwdzięczą. Błąd polega na nieuwzględnieniu skali. Polskie zamówienia są promilami w portfelu zamówień amerykańskich firm zbrojeniowych, a Polska jest tylko jednym z wielu krajów, które zabiegają o amerykańską protekcję. Przy czym brak jakichkolwiek stosunków z Rosją i złe relacje z Europą Zachodnią upewniają USA, że za polską przyjaźń nic nie trzeba płacić, bo Polska sama ustawiła się w pozycji bez wyjścia.

Temat restytucji mienia żydowskiego jest skomplikowany tak prawnie, jak i etycznie, ale akurat nie w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. USA wzięły jeszcze od PRL kilkadziesiąt milionów dolarów w ramach umowy indemnizacyjnej i zobowiązały się od tego czasu nie tylko same zaspokajać wszelkie roszczenia swoich obywateli, ale także na wieki wieków nie podnosić tego tematu w stosunkach dwustronnych. Hillary Clinton próbowała co prawda wracać do tego tematu podczas rozmów dyplomatycznych, ale gdy dostała ode mnie odpór, nie odważyła się wyjść ze sprawą publicznie. A teraz zrobili to w Warszawie zarówno sekretarz stanu, jak i wiceprezydent. Najwyraźniej uznali, że zadowolenie lobbystów w Waszyngtonie jest ważniejsze od interesu Polski i stosunków polsko-amerykańskich. Sprawa jest tym dziwniejsza, że nikt ewidentnie im nie wytłumaczył, że polskie księgi wieczyste nie dzielą właścicieli wedle wyznania. Zatem domaganie się zwrotu tylko dla jednej grupy religijnej jest cokolwiek absurdalne. Restytucja tylko dla tych, którzy załapałby się na ustawy norymberskie, a dla reszty figa z makiem?

Polska ma w tej sprawie dwa możliwe podejścia. Jedno – które stosowałem – to twardo stać na gruncie prawa i uświadamiać naszym amerykańskim sojusznikom, że są sprawy, w których Polska powie wyraźnie: nie. Wtedy gdy mamy mocne podstawy, warto to czasami robić, gdyż – paradoksalnie – buduje to szacunek na innych polach. Drugie podejście – łatwiejsze, acz niepozbawione ryzyka – to mówić partnerom, że „pracujemy nad tym”; grać na czas i liczyć na zmęczenie. Amerykańscy politycy mogliby pokazywać lobbystom swoją aktywność, a ci podtrzymywać nadzieję u swoich klientów i fakturować – bo zdaje się już tylko o to chodzi. Byłoby to o tyle bałamutne, że nie potrafię sobie wyobrazić większości sejmowej – w tej kadencji lub w następnej – która taką ustawę by uchwaliła. Pamiętajmy bowiem, że ustawa restytucyjna

musiałaby objąć tych, którzy mają zbyt słabe roszczenia, aby dziś składać sprawę do sądu. I odwrotnie – żadną ustawą nie można wykluczyć przyszłych pozwów. Jest więc restytucja projektem dla tych, którzy mają słabe roszczenia i których może w przyszłości przybyć. A więc szanse na taką ustawę w Sejmie są mniej więcej takie jak na ustawę o odszkodowaniach wojennych dla Polski w Bundestagu.

Wrelacjach z Izraelem także chyba prysnął mit naszej prawicy, że można zawrzeć pakt o wzajemnej obronie reputacji: polska prawica nie będzie krytykować Izraela za to, jak traktuje Palestyńczyków, a w zamian izraelscy nacjonaści nie będą szermować antypolskimi uogólnieniami. Ale gdy przyszło co do czego – i kampanii wyborczej w Izraelu – wsparcie dla Polski przyszło od raczej niepisowskich polskich Żydów z centrowego Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego i liberalnej części amerykańskiej oraz izraelskiej diaspory. Sam premier Netanjahu i jego minister spraw zagranicznych, mając do wyboru partnerów zagranicznych lub gorące głowy na prawo od siebie (tak jak PiS w Polsce), wybrał głosy tych ostatnich. Znowu okazuje się, że nacjonaści, wbrew najlepszym chęciom, nie są w stanie utrzymać trwalszych sojuszy. Prędzej czy później dzielą ich rozbieżne interesy. W końcu jest jakiś powód, dla którego nacjonalizm prowadził do wojen.

Szerszy – hurtowy – powód, dla którego pisowska polityka zagraniczna ponosi kolejne zwycięstwa moralne, to błędne założenie, że wpływ Polski rośnie w kontekstach dwustronnych, a maleje w wielostronnych. Stąd awersja do Unii Europejskiej, bajdurzenie o „Europie Ojczyzn” i przedkładanie relacji międzyrządowych nad wspólnotowe. Tymczasem na nacjonalizacji stosunków międzynarodowych skorzystać mogą wyłącznie państwa najsilniejsze. Te, które są w stanie narzucić innym własne interesy albo przynajmniej przed dyktatem silniejszych. Jednak gdy jest się krajem średniej wielkości w trudnym położeniu geograficznym, niezdolnym do samodzielnej obrony, to trzeba chuchać i dmuchać na reguły prawa międzynarodowego oraz ciągle budować koalicje i przyjaźnie. Tym bardziej że w takiej organizacji jak UE ma się swoje kilka procent akcji i nawet najwięksi gracze od czasu do czasu mogą ich potrzebować. A USA czy Izrael – jako mocarstwa atomowe – zawsze sobie bez nas poradzą.

Mierna jest nadzieja, że Nowogrodzka zrozumie te głębsze przyczyny kolejnych upokorzeń. Nie pamiętam polskiego rządu, który tyle co obecny mówiłby o suwerenności i jednocześnie tak regularnie dostawał bęcki od zagranicy. Jak Wielka Brytania pod rządami swoich nacjonalistów, która pod hasłem podmiotowości opuszcza Unię Europejską i co tydzień musi połykać kolejne upokorzenie. A Chiny, które przez 30 lat mówiły tylko o gospodarce, nagle wyrosły na supermocarstwo. Wychodzi na to, że suwerenność – a przynajmniej potęga państwa – rośnie w odwrotnej proporcjonalności do tego, ile o niej mówimy.

Więcej o kryzysie polsko-izraelskim na s. 12.

Podczas polowania na dziki łowczy został kozłem

Już bez medialnego rozgłosu, ale do dzików strzelają i strzelać będą.

Ministerstwo Rolnictwa przygotowuje rozporządzenie w sprawie wprowadzenia w 2019 r. „programu mającego na celu wczesne wykrycie zakażeń wirusem wywołującym afrykański pomór świń”. Głównym działaniem ma być redukcja populacji dzików przez polowania, odstrzał sanitarny i odławianie, a następnie likwidację. Nie sprecyzowano, jak odłowione żywcem dziki będą uśmiercane. Wszystkie działania mają być skierowane na „zwiększenie udziału samic dzika w obniżaniu populacji”. Więc wszystko po staremu. Tak jak zapowiadał minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, który twierdził, że dziki trzeba „wybić do zera”.

W dodatku za sporą kasę. Realizacja całego programu ma kosztować nieco ponad 9,5 mln euro. Z tego niemal jedną trzecią, 2,8 mln euro, przeznaczono na odstrzał i odłowy żywych dzików. I to bez kosztów dodatkowych, np. chłodni. Większość pieniędzy ma pochodzić ze środków Unii. Ale nie wszystkie. Półtora miliona euro dołożymy z naszego budżetu.

By zachęcić myśliwych do strzelania do dzików, minister Ardanowski podtrzymuje stawki ustalone w zeszłym roku: 650 zł za łochę i 300 za samca.

I tak w całym kraju, już bez medialnego rozgłosu, trwają polowania. Na początku marca zacznie się nowe liczenie dzików.

Polegać będzie na przepędzaniu stad, co podobnie jak polowania z nagonką może przyczynić się do rozprzestrzeniania ASF. W połowie marca Polski Związek Łowiecki ogłosi nowy plan, obowiązujący od kwietnia.

W całej awanturze o ASF i plan masowych polowań na dziki poległ łowczy krajowy, zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Ani on, ani minister Henryk Kowalczyk nie chcieli brać odpowiedzialności za pomysł ministra Ardanowskiego depopulacji gatunku. Kowalczyk próbował się od niego odciąć, przekonując, że polowania miały być ograniczone tylko do trzech województw, tzw. korytarza oddzielającego wschód kraju zarażony ASF od czystego, wolnego od wirusa zachodu.

Także władze PZŁ wyraźnie się od koncepcji wybić dzików do zera dystansowały. Co bardzo nie spodobało się rolnikom, którzy źle oceniają sposób, w jaki PZŁ walczy z wirusem ASF. W rezultacie łowczy krajowy został kozłem ofiarnym.

Tą dymisją minister Ardanowski chciał udobroczyć rolników, więc najwyraźniej wymusił ją na szefie resortu środowiska, który po zmianie ustawy Prawo łowieckie powołuje i odwołuje łowczego krajowego. „W związku z bezprecedensowymi naciskami na ministra środowiska związanymi z ASF o odwołanie Piotra Jenocha z funkcji Łowczego Krajowego, informujemy, że 23 stycznia Pan Piotr Jenoch złożył na ręce Ministra Środowiska rezygnację ze stanowiska Łowczego Krajowego” – poinformował PZŁ, alarmując jednocześnie, że losy polskiego łowiectwa są niepewne.

W połowie lutego minister środowiska Henryk Kowalczyk odwołał łowczego krajowego. Dzień później krajowy zjazd delegatów PZŁ uchwalił nowy statut. Musi go zatwierdzić minister środowiska. Może losy łowiectwa są niepewne, ale żadnych wątpliwości nie ma: PZŁ stał się jeszcze jedną rządową agendą i musi robić, co władza każe. AS

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.



18 dni, 15998zł

Kanał Panamski

Rejs z San Francisco na Florydę

➔ **Wylot: 16/11 2019**

Nasza podróż rozpocznie się w San Francisco, gdzie zobaczymy m.in. Gate Bridge i Fisherman's Wharf. Popytniemy przez Kanał Panamski statkiem Coral Princess, wzdłuż wybrzeży Ameryki Północnej i Środkowej po wodach Oceanu Spokojnego oraz Atlantyckiego. Podziwiając piękne krajobrazy wpłyniemy do portów w Gwatemali, Kolumbii i Kostaryki. Głównym celem naszej podróży jest Kanał Panamski o długości 80 km. Nasza wielka podróż zakończy się na słonecznej Florydzie, w dzielnicy Art Deco na South Beach.



5 dni, 3998zł

Szampania i Burgundia

➔ **Wylot: 06/10 2019**

Program wycieczki: **Dz. 1.** Przelot do Paryża. Spacer po mieście Reims i degustacja w słynnym domu szampana. **Dz. 2.** Szampania i Épernay. Objazd po Szampanii z degustacją szampana i zwiedzaniem Épernay. **Dz. 3.** Reims – Troyes – Chablis – Dijon. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes i degustacja wina w Chablis. **Dz. 4.** Burgundia, Beaune i Côte d'Or. Spacer po średniowiecznym mieście Beaune i degustacja win w Côte d'Or. **Dz. 5.** Zwiedzanie Auxerre nad rzeką Yonne. Przelot z Paryża do Warszawy.

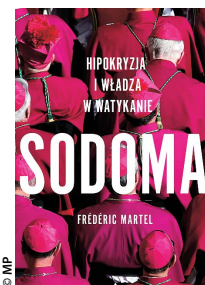
Cena zawiera: Bilety wstępów w cenie, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-osobowe, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Kod reklamy: PL34 **Warszawa ul. Marszałkowska 74**
Rezerwacja +48 22 128 48 81 albatros.pl

Sodoma, czyli Watykan

Książka Frédériccka Martela opisuje Watykan jako państwo panującego i ukrywanego homoseksualizmu.

Przypadek? Gdy w Watykanie rozpoczął się zwoływany przez papieża Franciszka szczyt w sprawie kryzysu pedofilskiego w Kościele, w księgarniach dwudziestu krajów rozpoczęła się sprzedaż książki zestawiającej współczesny Watykan z biblijną Sodomą. Łącznikiem jest panujący w nich obu homoseksualizm. Autor, Frédéric Martel (ur. 1967), sam jest gejem i działaczem na rzecz praw mniejszości seksualnych, a zarazem socjologiem, pisarzem, dziennikarzem z bardzo dobrym wykształceniem i sporym dorobkiem, a także doświadczeniem współpracy z rządem francuskim. Jego najnowsza książka „Sodoma”, już przetłumaczona na osiem języków (przekład polski trafi do dystrybucji na początku kwietnia z podtytułem „hipokryzja i władza w Watykanie”), od razu przykuła uwagę. Zbieg daty publikacji z datą szczytu prowokuje miłośników teorii spiskowych do największych spekulacji. Że to piarowska operacja „Teamu Franciszka” w obrobie jego pontyfikatu przed księciem betonem; że jedna wielka insynuacja, zdradzająca kompletną nieznaną instytucji Kościoła.



Teza książki Martela jest zarazem jasna i kontrowersyjna: w Kościele, a zwłaszcza w Watykanie, wielu, jeśli nie większość, księży i hierarchów to homoseksualiści, którzy z obawy przed zdemaskowaniem swojej orientacji nie robią tego, co powinni w sprawie kryzysu pedofilskiego w Kościele. Z tego lęku przed demaskacją miała wyrosnąć klerykałna „kultura milczenia” o tych przestępstwach. Geje w sutannach żyją w lęku, obłudzie i schizofrenii. Z reguły potępiają publicznie homoseksualizm. Martel pracował nad książką cztery lata; twierdzi, że rozmawiał w 30 krajach z 50 biskupami, 41 kardynałami, 25 nuncjuszami, a nawet 11 szwajcarskimi gwardzistami papieskimi. Tyle że psychoanaliza zastosowana przez autora nie tłumaczy, czemu niektórzy księża gwałcą też kobiety (w tym dziewczynki i zakonnice). A teza o potężnym lobby gejowskim w Kościele odwraca uwagę od systemowych przyczyn kryzysu pedofilskiego.



© POLARIS/EAST NEWS

Trucizna i odtrutki

„Wystarczy”, manifestacja przeciwko fali antysemityzmu, Paryż, 19 lutego 2019 r.

Zarejestrowany moment, kiedy podczas sobotniej manifestacji „żółtych kamizelk” w Paryżu przechodzący obok filozof Alain Finkielkraut wyzywany jest od „brudnych syjonistów”, a grupa krzycząca za nim: „wracaj do Tel Awiwu”, obiegił całą Francję i stał się punktem odniesienia. Bo Finkielkraut, potęga wolnej myśli, to tutaj instytucja i symbol. Prezydent Macron tweetował, że antysemityzm to „zaprzeczenie wszystkiego, czym jest Francja”. A wkrótce ogłoszono, że liczba incydentów antysemitycznych, po dwóch latach spadków statystyk, w zeszłym roku wzrosła o 74 proc. Minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner ogłosił, że „rozpowszechniają się niczym trucizna”. Na cmentarzu pod Strasburgiem (miejsce to odwiedził później Macron) na żydowskich grobach namalowano swastyki, swastyka zakryła głowę Simon Weil na paryskim murale, na sklepie z bajglami namalowano „Juden”, a gdzieś na garażu pojawił się napis „Macron, ty żydowska dziwko”. I tym podobne.

Trudno te incydenty jednoznacznie utożsamiać z „żółtymi kamizelkami”, ale faktem jest, że narodzony trzy miesiące temu ruch systematycznie kurczy się, ale i radykalizuje, zmienia ku przemocy (podczas osobotnich starć zostało już rannych ponad 1,4 tys. manifestantów i tysiąc policjantów). Nadal ma otwartą, amorficzną formułę „głosu ludu”, z czego korzystają skrajni lewacy i – z drugiej strony – ultrapravicowcy. A oba te skrzydła mają swoją antysemityczną historię. „Kamizelki” zaczęły kontestację od cen benzyny i nadmiaru radarów drogowych, ale szybko lista wrogów zaczęła puchnąć: znaleźli się na niej politycy, z Macronem na czele, elity, policjanci, dziennikarze, drogie samochody i w ogóle bogacze, zadzierający nosa paryżanie. Francuskim obyczajem rozpoczęła się wielka narodowa debata: co się właściwie z nami stało? Publicysta Alain Duhamel, również tutejsza instytucja i symbol, orzekł, że w powietrzu wisi nienawiść, wielkie pokłady nienawiści i frustracji, jakiej do tej pory nie było.

Taki klimat to nie najlepszy prognostyk przed majowymi wyborami, które niby mniej ważne, ale dobrze testują, co wyborcom gra w duszy. Macron ruszył w kraj uspokajając nastroje, zapowiedział też czyszczenie internetu i likwidację trzech organizacji skrajnej prawicy. Ale wyraźnie Francja ma ze sobą kłopot. I zdecydowanie nie tylko ona.

Ana, Mulica i Igor

Światowe media ekscytowały się Jacindą Ardern, młodą panią premier Nowej Zelandii, która na tym stanowisku powiła dziecko i po partnersku, razem z mężem, zabrała je nawet w nosidełkach na specjalną sesję ONZ. Teraz odnotowały fakt podobny: dziecko, a konkretnie syn Igor, urodził się pani premier Serbii, Anie Brnabić. To znaczy urodziła go jej długoletnia partnerka (poznały się w barze les w Belgradzie), lekarka Milica Dzurdić. Ana już wcześniej trafiła do rubryki „po raz pierwszy”, kiedy w 2017 r. została w Serbii pierwszą kobietą na stanowisku premiera i w dodatku zdeklarowaną lesbijką.

Co sprawiło, że po bałkańsku konserwatywni Serbowie musieli odrobić trudną lekcję. Rzecz jasna nie ma tu, jak u nas, małżeństw osób tej samej płci ani nawet związków cywilnych, a takie pary nie mogą adoptować dzieci (chyba że oddzielnie). Po wstępnym narzekaniu, że pani premier została „narzucona przez Zachód” albo że to umizg pod adresem Brukseli, aby pokazać europejską otwartość Belgradu i że na tym stanowisku powinien być ktoś, kto zna życie rodzinne, wszystko się jakoś ułożyło. To raczej środowisko LGBT ma do niej pretensje, że jest za mało progresywna i nic mu nie wywalczyła. Tuż po narodzinach Igora Brnabić miała jechać do Brukseli, ale wizytę odwołała. Sprawy osobiste.

Odra przybiera

Powszechna niechęć do szczepień toruje drogę wirusowi.

Ta sytuacja jest niebezpieczna zwłaszcza dla niemowląt. WHO, Światowa Organizacja Zdrowia alarmuje, że współcześnie unikanie szczepień to czołowe zagrożenia dla zdrowia i życia. Tymczasem szczepionka na odrę jest bezpieczna i wysoce skuteczna, tyle że ostatnio używa się jej w niewystarczającym stopniu.

Dlatego od choroby nie są wolne państwa o doskonałej służbie zdrowia. Z falą zachorowań największą od ponad dekady zmagają się Japonia. Zarażano się m.in. na targu prezentów walentynkowych i podczas warsztatów sekty religijnej Kyusei Shinkyō. Budując Niebo na Ziemi, stara się ona wypłenić wszelkie choroby, jednocześnie nie wierzy w zdobycze medycyny. Kyusei Shinkyō przeprosiła publicznie, kiedy zaczęli chorować niezaszczepieni członkowie. Zawiesiła też organizację spotkań i publikację świadectw o cudownych ozdrowieniach. No i obiecała modlić się w intencji chorych.

WJaponii chodzi raptem o sto kilkadziesiąt przypadków, podobną liczbę wykryto w tym roku w USA. Niby niewiele, ale odra korzysta z wysokiej mobilności najzamożniejszych społeczeństw. Do Kostaryki – po pięciu latach spokoju – właśnie dostarczyli ją francuscy turyści, według lokalnych gazet, niezaszczepieni. Do Nowego Jorku trafiła prawdopodobnie z Izraela, znajdując podatny grunt wśród ortodoksyjnych Żydów. Grupy ultrakonserwatywne, odrzucające wiele procedur medycznych, są bardziej narażone, jak w minionych latach Amisze i somalijskie wspólnoty z Minnesoty.

W Europie w ubiegłym roku doliczono się 82 tys. pacjentów (z tego dwie trzecie na Ukrainie), w sumie to 15 razy więcej (!) niż w 2016 r. Najzamożniejsi chyba nie wiedzą, co wyprawia odra w społeczeństwach niezabezpieczonych: np. na Madagaskarze, gdzie poziom szczepień spadł do 60 proc., od jesieni zmarło 900 z 68 tys. chorych. Na Filipinach, gdzie szerzy się sceptycyzm wobec szczepień, a ich poziom spadł do 55 proc., zmarło w tym roku 189 osób. WHO mobilizuje, by dzieci szczepić. Przypomina, że w zeszłym roku odra zabiła na świecie 110 tys. osób, głównie poniżej 5. roku życia. I ostrzega opornych: przed odrą nie macie dokąd uciec.

Niezależni przeciw brexitowi

Pod wpływem brexitu sypią się dwa filary brytyjskiego parlamentu:

Partia Pracy i Partia Konserwatywna. W ubiegłym tygodniu z tej pierwszej odeszło ośmioro posłów – oskarżyli lidera

laburzystów Jeremy'ego Corbyna i nowe kierownictwo partii o rasizm, zdradę wyborców w sprawie wyjścia z Unii i igranie bezpieczeństwem narodowym. Jeden z nich nazwał nawet Corbyna stalinistą. Dwa dni później trzech posłów opuściło Partię Konserwatywną, tłumacząc, że premier May stała się zakładniczką zwolenników wyjścia z Unii nawet bez żadnej umowy. Ta jedenastka stworzyła Grupę Niezależną i wiele wskazuje na to, że wkrótce zasilą ich kolejni rozłamowcy z dwóch wielkich partii.

Ostatni raz nowe ugrupowanie – Partia Socjaldemokratyczna – powstało w brytyjskim parlamencie w 1981 r. Ale choć cieszyła się ona nawet 25-proc. poparciem, w wyborach zdobyła zaledwie 23 mandaty (na 650). To efekt wiekszościowego systemu wyborczego na Wyspach, który trzecie partie skazuje na porażkę. I taki los komentatorzy przepowiadają również Grupie Niezależnej. Poza poparciem dla drugiego referendum w sprawie brexitu nie ma ona w zasadzie programu, a jedyną rozpoznawalną twarzą w jej szeregach jest **Chuka Umunna**, urodzony w Londynie potomek nigeryjskich imigrantów, dotychczas – wschodząca gwiazda laburzystów. Niezależni mogą się jednak okazać kluczowi w trakcie głosowania nad ostatecznymi warunkami wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii (prawdopodobnie 12 marca). Dziś wydaje się, że tylko oni mogą zablokować tzw. twardy brexit.



© ZUMA PRESS/FORUM

PO RAZ PIERWSZY W POLSCE



LOS LOBOS

w Dolinie Charlotty

01.08



BILETY NA
TICKETMASTER.PL
I EVENTIM.PL



Premierzy Beniamin Netanjahu i Mateusz Morawiecki, Szczyt bliskowschodni w Warszawie.

© RAFAŁ OLEKSIWICZ/REPORTER

Choroba dwubiegunowa

W stosunku rządu PiS do Izraela emocje ścierają się z kalkulacją geopolityczną. A to musi wywoływać cykliczne kryzysy.

ŁUKASZ WÓJCIK

Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki” – to chyba najbardziej dziś znane w Polsce słowa byłego premiera Izraela Icchaka Szamira. Stało się tak za sprawą nowego szefa izraelskiego MSZ Israela Katza, który tymi właśnie słowami skwitował swój stosunek do Polski.

Z Szamirem to jednak nie taka prosta sprawa. W swoich wspomnieniach, wydanych pod tytułem „Dyplomata”, Jerzy Maria Nowak, były ambasador RP w Hiszpanii i przy NATO, opisuje takie spotkanie. W 1984 r., przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, polska delegacja pierwszy raz oficjalnie spotkała się z Izraelczykami. Miał to być wstęp do nawiązania pełnych stosunków dyplomatycznych. Polskiej delegacji przewodniczył szef MSZ Stefan Olszowski, izraelskiej – premier Szamir.

Nasza strona wydała obiad, potem wszyscy razem się napili. Cały czas rozmowy toczyły się po angielsku. W pewnym momencie Szamir, który nie wylewał za kołnierz, podszedł do naszych i piękną polszczyzną powiedział, że przecież nie ma potrzeby rozmawiania po angielsku. „A teraz, jak to Polacy, możemy powspominać” – i zaczął z pamięci recytować pokaźny fragment inwokacji z „Pana Tadeusza”. Gdy skończył, popłakał się.

Wielu Polaków – jak można się przekonać, również tych z Izraela – ma problem z dwubiegunowością. Psychologowie często

tłumaczą to brakiem pewności siebie, a w szczególności – nieregulowanym stosunkiem do przeszłości. U jednych, tak jak u Szamira, mogło to być związane z traumą, po tym jak sąsiedzi-rówieśnicy zamordowali jego ojca łopatom, gdy ten uciekł przed transportem do obozu. U innych – z wyparciem faktu, że Polacy jako naród w ogóle są do czegoś takiego zdolni. W anglosaskiej psychologii często nazywa się to *love-hate relation* – kochamy się i nienawidzimy jednocześnie. I tak jest też trochę z naszym stosunkiem do Izraela.

Gdy na początku rządów premier Mateusz Morawiecki prezentował wizję nowoczesnej Polski przyszłości, kilkakrotnie odwoływał się do przykładu Izraela. W tym kontekście pojawiła się nawet słynna książka Senora Dana i Saula Singera „Naród start-upów. Historia cudu gospodarczego Izraela” jako godna naśladowania historia sukcesu. Premier szybko musiał jednak zrewidować te wzorce, bo zaraz potem – w styczniu 2018 r. – wybuchł kryzys dyplomatyczny z Izraelem w sprawie nowelizacji ustawy o IPN. PiS „schował” Morawieckiego i dał się powyżywać swojemu prawemu skrzydłu. Aż do czerwca, gdy premierzy podpisali deklarację potępiającą m.in. sformułowanie „polskie obozy koncentracyjne”. Znow zapanowała niemal sielanka, a polski rząd snuł plany budowy strategicznego trójkąta Waszyngton–Jeruzolima–Warszawa.

Powrót do „normy” rozpoczął się, gdy Mike Pompeo, sekretarz stanu USA, w trakcie niedawnej konferencji warszawskiej dość niespodziewanie poruszył temat restytucji żydowskiego mienia. I już wtedy w Polsce zapaliły się pierwsze kontrolki ostrzegawcze. Napięcie znow wzrosło, gdy niedługo potem doświadczona dziennikarka

NBC News Andrea Mitchell poinformowała widzów, że powstanie w warszawskim getcie wybuchło przeciwko „polskiemu i nazistowskiemu reżimowi”. Gdy więc premier Izraela Benjamin Netanjahu w muzeum Polin powiedział izraelskim dziennikarzom, że „Polacy pomagali Niemcom w zabijaniu Żydów”, syreny alarmowe zawyły.

A potem minister Katz dorzucił swoje trzy grosze. „Jak każdy Izraelczyk i Żyd mogę powiedzieć: nie zapomniemy i nie przebaczymy. Byli Polacy, którzy kolaborowali z nazistami”. Dalej pada przytoczony już cytaty z Szamira. „Nikt nie będzie nam mówił, jak mamy się wypowiadać i jak pamiętać naszych poległych”. W Polsce zawrzało, obudzili się „judeosceptycy”, rząd ostatecznie odwołał swój udział w jerozolimskim szczycie Grupy Wyszehradzkiej.

– *Oni po nocach nie śpią z powodu tego Izraela* – mówi o obecnej władzy polski dyplomata bliski PiS. – *Są przekonani, że od Żydów zależy nasz sojusz z Ameryką. Klną na nich, a potem organizują Netanjahu kampanię wyborczą w Warszawie pod przykrywką tej konferencji.* Według naszego rozmówcy rząd od początku był świadom, o co w tej konferencji tak naprawdę chodzi. – *Mogę sobie tylko wyobrazić, co tam u nich się działo po tych wypowiedziach Netanjahu i Katza. No, ale potem musieli wyjść do ludzi i się uśmiechać.*

Pomijając już samą treść wypowiedzi ministra Katza, kluczowy wydaje się tu czas. Dlaczego izraelski polityk miałby atakować Polskę zaledwie cztery dni po tym, jak nasz rząd – narażając się na krytykę zachodniej Europy – zorganizował konferencję bliskowschodnią w interesie Izraela?

Tu opcje są dwie. Albo Katz, który dotąd był ministrem transportu, nie zdążył się wdrożyć w specyfikę nowego urzędu. Albo był to cios wymierzony z premedytacją w Netanjahu. Katz w ten sposób nie tylko przeliczył go w krytyce Polaków, ale też wywołał kryzys w relacjach, na których premierowi szczególnie zależało w kontekście europejskim. Szczyt Grupy Wyszehradzkiej w Jerozolimie, który ostatecznie nie odbył się z powodu wycofania polskiej delegacji, miał być starannie zaplanowanym sukcesem dyplomatycznym w końcówce kampanii przed wyborami do Knesetu, które odbędą się już 9 kwietnia. A nie jest żadną tajemnicą, że Katz i kilku innych polityków Likudu chętnie pozbyliby się Netanjahu.

Ostatnie sondaże dają Likudowi 30 mandatów w 120-osobowym parlamencie. Dlatego Netanjahu potrzebuje poparcia skrajnej prawicy, aby utrzymać władzę i nie trafić do więzienia. – *Premierowi, który jest zamieszany w kilka skandali korupcyjnych, grozi akt oskarżenia* – zwraca uwagę Yohan Plesner z Izraelskiego Instytutu Demokracji. Jest podejrzewany m.in. o faworyzowanie Bezeq Telecom w zamian za korzystne dla niego materiały na portalu należącym do tej firmy. A mowa o kraju, w którym zasada „równi wobec prawa” rzeczywistoście obowiązuje i niedawno jeden z byłych premierów – Ehud Olmert – siedział w więzieniu za korupcję. Porażka w wyborach może się więc dla Netanjahu okazać tym mniejszym zmartwieniem.

Te oskarżenia wobec premiera stały się zresztą leitmotivem całej kampanii. Według sondaży ponad połowa pytanym chce odejścia rządzącego od 10 lat premiera. – *Stąd jego najnowszy, radykalny zwrot w prawą stronę. Już dawno porzucił centrum i chce wycisnąć jak najwięcej głosów ze skrajnej prawicy.* Szczególnie ze 21 lutego zjednoczyła się opozycja, która – według Plesnera – przy takim układzie sił pierwszy raz stanowi realne zagrożenie dla Netanjahu. Jej liderzy, były szef armii Benny Gantz i przewodniczący partii Jest Przyszłość Jair Lapid, zapowiedzieli, że jeśli wygrają, podzielą się kadencją tak, aby każdy z nich był premierem.

Ostatnie badania opinii publicznej pokazują, że sytuacja jest stykowa, z pozytywną tendencją dla opozycji. Netanjahu ma duży elektorat negatywny, szczególnie w środowiskach lewicowych i palestyńskich – to nic nowego. Ale po tym, gdy w czerwcu Izrael i Polska podpisały porozumienie kończące spór wokół IPN, od Netanjahu zaczęły uciekać również wyborcy z prawej strony, uznając

go za „miękkiego” w sprawach historycznych. „Przez cztery lata premier nie odważył się głośno powiedzieć, że Polacy pomagali nazistom, bo antysemityzm był integralną cechą polskiego społeczeństwa” – przekonywał niedawno centrowy skądinąd polityk Jair Lapid.

Polski rząd zaczyna rozumieć, o co chodzi w tej grze z Izraelem. I po tym, jak się sparzył przy okazji ustawy o IPN, dziś bardziej waży swoje reakcje. Już decyzja o odwołaniu udziału w jerozolimskim szczycie wyszehradzkim była krytycznie przyjęta przez część posłów PiS z komisji spraw zagranicznych. I chociaż mówi się, że tam wszystko w środku „wrze”, rząd zacisnął zęby i nie reaguje na izraelską kampanię wyborczą, w której Polska stała się chłopcem do bicia dla wszystkich stron. Tę nową wstrzeźliwość było też widać w sprawie muzeum Polin.

Wkrótce kończy się pięcioletnia kadencja dyrektora tej instytucji prof. Dariusza Stoli. Pierwsze związane z tym rozmowy trójki właścicieli – miasta Warszawy, Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – rozpoczęły się już w połowie 2018 r. Miasto i ZIH chciały przedłużenia kontraktu Stoli, ale sprzeciwił się temu minister Gliński. A jako że każdy z właścicieli ma prawo weta, rozmowy ugrzęzły na wiele tygodni.

Ministerstwo nadzoruje wszystkie muzea w Polsce, jest więc na uprzywilejowanej pozycji. Gdyby klincz się przeciągnął, zgodnie ze statutem muzeum minister Gliński mógłby mianować dowolną osobę na stanowisko p.o. dyrektora na pół roku i tak w nieskończoność, co sparaliżowałoby Polin. Poza tym spora część ludzi związanych z muzeum obawiała się, że ministerstwo mogłoby na to stanowisko wyznaczyć osobę z zupełnie inną koncepcją niż realizowana dotychczas.

Strony znalazły kompromis zaledwie kilka dni temu: każda z nich zrezygnuje z prawa weta i odda wybór dyrektora w ręce niezależnej komisji. W jej skład wejdą reprezentanci właścicieli, Rady Muzeum, związków zawodowych w nim działających, a także przedstawiciele organizacji i środowisk związanych z tradycją żydowską. Ustalono też, że na czas konkursu obecny dyrektor, który ogłosił już, że będzie się ubiegał o reelekcję, musi oddać władzę swojemu zastępcy.

Gliński swoją niechęć wobec Stoli tłumaczył z początku politycznym – jego zdaniem – charakterem obchodów rocznicy Marca '68 na terenie muzeum. Później miał również przekonywać, że ma w tej sprawie związane ręce, bo na usunięcie Stoli naciska prawe skrzydło PiS. Ostatecznie jednak odpuścił i zgodził się na udział obecnego dyrektora w konkursie, w którym ma on duże szanse na zwycięstwo.

Według naszych informacji minister mógł ulec pośredniej presji licznych i wpływowych dobrodziejów Polinu, również z Izraela, którzy uznali, że muzeum grozi wrogie przejęcie. Przeważczył miał kryzys dyplomatyczny po wypowiedziach Netanjahu i Katza. – *Rząd chce ten konflikt jak najszybciej wyciszyć* – mówi nam bliski władzy dyplomata. – *A skutki awantury o Polin mogłyby być porównywalne z tymi po ustawie o IPN.*

Pytanie, jak długo taki stan rozjeżdżania się emocji i strategicznej konieczności można utrzymać. – *To niejasne stanowisko polskiego rządu wobec Izraela wynika z instrumentalnego traktowania nieprzepracowanej przeszłości* – uważa Irena Grudzińska-Gross, emerytowana historyczka literatury z Princeton University. – *Stąd mnożenie liczby Sprawiedliwych i fałszywy mit masowego antypolonizmu na świecie, który ma unieważniać wszelkie objawy antysemityzmu w Polsce.*

Efektom tego jest dwubiegunowość zachowań. Polska prawica „narodowowyzwoleńcza” wciąż nie chce być oskarżana o antysemityzm. Stąd ucieczka części jej przedstawicieli w kierunku takich wytrychów, jak judeosceptycyzm. Ale też próba zagłuszenia złych emocji przerysowanym podziwem i miłością dla Izraela. Aż do następnego kryzysu. ■